

Kiedy ktoś twierdzi, że BUG nie jest mu potrzebny – wierzę, sama przecież go nie używam.

Nawet się cieszę, bo choć zarabiam na przekonaniu, że BUG jest potrzebny każdemu, to lubię słuchać natchnionych tyrad o ludzkiej indywidualności, wrażliwości oraz o jedynych w swoim rodzaju i nieograniczonych sposobach ekspresji, o niezmiernych zasobach ludzkiego ducha; lubię czytać gniewne mejle i pełne bluzgów internetowe komentarze; nawet gdy jakiś anarchista obrzucił mnie pod teatrem psią kupą, poprosiłam, by ochrona go puściła i spokojnie poszłam do łazienki (dzieciaku, mówiłam do niego w myślach, tyle gówna się w życiu nazarłam, że nie robi to na mnie wrażenia, dobrze, że walczysz, ale walcz na poważnie, do kurwy nędzy, nie baw się w wojnę). Jedyne, czego nie lubię, to fizyczna agresja, to, jak ludzkie twarze zamieniają się w jednakowe, wykrzywione maski; Paul Eckman byłby zachwycony, żadne tam mikroekspresje – wielosekundowa czysta wściekłość, ścierająca tę indywidualność, której się domagają. Kilkunastoletnia dziewczyna w martensach łamiąca mi śródstopie, staruszek z laską, którą zdzielił mnie w tyłek, pisarz, który na spotkaniu autorskim cisnął we mnie swoją powieścią (w twardej oprawie) – wszyscy mieli identyczny wyraz twarzy i to mnie przygnębia, bo przecież chcieli bronić nieograniczonych sposobów ekspresji.

Na szkoleniach marketingowych nasi pracownicy uczą się, jak przekonywać – drażnić, dopytywać o szczegóły, dociekać słabości, i wreszcie – z łagodnością i współczuciem, nigdy (nigdy!) z triumfem – wskazywać w życiu klienta dowody na to, że BUG jednak jest mu potrzebny. Ważne jest podkreślenie wolności wyboru, to hasło-klucz, pokonujące wątpiących. Naturalnie, proszę pana/pani, nie ma żadnej ingerencji w procesy myślowe, w każdym momencie podejmuje pan/pani suwerenną decyzję, nie zaprzeda nam pan/pani przecież duszy, ha ha. I najlepsze, że to prawda, faktycznie BUG nie ingeruje w procesy poznawcze, ale co z tego – i tak prędzej czy później zaczyna na nie wpływać, jak dowiodły nasze ostatnie badania. Nawet nie utajnialiśmy wyników, nie miały najmniejszego znaczenia.

Ja nigdy nie przekonuję. I smutno mi, kiedy co miesiąc widzę rosnące wykresy sprzedaży. Chodzę do telewizji, żeby brać udział w debatach, słucham wszystkich zarzutów i nawet kiwam głową. Moja postawa w niczym nie szkodzi sukcesowi, jaki nieustająco odnosi BUG, dodaje mu kuszącej tajemniczości, więc wspólnicy machnęli już ręką na tę moją hipokryzję.

Jedyny warunek, który postawiłam, jest skrupulatnie przestrzegany: zarówno nasza trójka – członkowie zarządu – jak i całe dziesiąte piętro biurowca BUG z o.o.: główni programiści, księgowi i dyrekcja sprzedaży, wszyscy jesteśmy czyści. Po wielogodzinnych dyskusjach i prototypowych próbach (żadne z nas nie miało garażu jak Steve Wozniak, wszystko się odbywało w luksusowym mieszkaniu Jacka, w którym i bezdomny Darek wtedy pomieszkiwał) uznaliśmy, że BUG wprawdzie zrodził się z potrzeby, jak każdy wynalazek, ale gdy zaczniemy sami go używać, wymknie się spod kontroli. A potrzebę kontroli każde z nas miało równie silną jak inne, a może i silniejszą, skoro udało nam się zgodzić w tej sprawie.

Mówię o naszej trójce, ale prawda jest taka, że to ja go wymyśliłam.

Rok 2006 był dla mnie czasem mroku i seriali. Biorąc pod uwagę wszystko to, co wydarzyło się wcześniej, idiotycznie brzmi stwierdzenie, że był to najgorszy okres w moim życiu, tak to jednak odczuwałam. Chodziłam do pracy – chodziłam przedtem, to czemu niby miałabym teraz iść na zwolnienie lekarskie, które błyskawicznie mogło się przerodzić w zwolnienie z pracy – wykonywałam swoje obowiązki automatycznie, nie popadając w rozpacz ani euforię, które kiedyś rozrywały mnie od środka; oczy mi się kle-

ły, z wysiłkiem podnosiłam do ust kubek z kawą; potem wracałam do domu, kładłam się na kanapie i włączałam czterdziestodwucalowy telewizor, pierwszą i jedyną wówczas korzyść z niepicia, nagle okazało się, że mnie stać, i zapadałam w telewizyjną medytację, serialową mantrę, chroniącą przed mrokiem spełzającym ku mnie ze ścian. „Przyjaciele”, „Archiwum X”, oczywiście „Miasteczko Twin Peaks”, „Przystanek Alaska”, „Ostry dyżur”. Senna pustka, którą drażył we mnie doxepin, wypełniała się kolorowymi postaciami, budynkami obcych miast, cudzymi miłościami, przyjaźniami i rozczarowaniami. Za „Detektywem Monkiem” nie przepadałam, ale wtedy nie liczyły się sympatie i antypatie, po prostu był, i to on mnie natchnął. No dobrze, natchnęli mnie również chirurdzy, którzy wszczepili implant do odpowiedniego płatu mózgowego głuchego mężczyzny i przywrócili mu słuch. Ale ta wiadomość ledwie mnie poruszyła, utworzyła tylko tło, kontekst. BUG objawił mi się dopiero za sprawą Adriana Monka. Zobaczyłam, jak Monk, całkowicie pozbawiony umiejętności społecznych, starannie przygotowywał się do rozmowy telefonicznej z interesującą go kobietą. Rozłożył na stole mnóstwo karteczek z wypisanymi tematami, takimi jak „zmarła żona”, „praca”, „hobby”, „prognoza pogody na najbliższe dni”, „spotkanie”. Na drugiej stronie każdej kartki zgromadził zdania adekwatne do danego tematu, na przykład na odwrocie karteczki „zmarła żona” zapisane było: „Linda lubiła muzykę”, na odwrocie karteczki „spotkanie” – „Czy mógłbym zaprosić panią na kolację?” Patrzyłam na te przygotowania z powątpiewaniem, moim zdaniem nie mogło mu się udać, kobieta na pewno podejmie jakiś zupełnie nieprzewidywalny temat albo kartki mu się pomylą, świat przecież pełen jest chaosu. Ku mojemu zdumieniu jednak wszystko poszło doskonale, Monk bezbłędnie odkrywał odpowiednie karteczki, pytał i odpowiadał na pytania – jednym słowem prowadził normalną rozmowę towarzyską.

Też bym tak chciała.

Gdyby tylko ręce mi się nie trzęsły, mogłabym posługiwać się taką magiczną talią kart, choć w bezpośrednim kontakcie stanowiłoby to pewien problem. Z całą pewnością jednak nie tak wielki, jak mój problem z mówieniem. Bo z tym było źle. Słowa zbijały się w bolesną kulę, więzły w gardle i, z wysiłkiem przetykane, opadały ciężko na dno żołądka. Czasem udawało mi się coś powiedzieć, w końcu musiałam jakoś funkcjonować, ale wtedy mój głos brzmiał tak chropowato i fałszywie, że budził we mnie wstyd.

Nagle przypomniała mi się wiadomość o nowatorskich chirurgach, na tę informację nałożył się obraz Monka odnoszącego komunikacyjny sukces i wtedy mnie olśniło. Już wiedziałam, jak to zrobić.

To smutne, ale nie miałam się z kim podzielić swoim pomysłem. Międlilałam tę myśl przez dwa odcinki „Przyjaciół”, zapominając o rzeczywistości; kiedy się ocknęłam, słońce już prawie zaszło i w mieszkaniu zapadł półmrok, zdążyłam jednak zapalić światło. Wygrzebałam spod łóżka pudełko z pracami i zeszytem z terapii, znalazłam listę numerów telefonicznych zatytułowaną „Siatka wsparcia”. Lista była krótka, ledwie cztery osoby, a i tak nigdy z niej nie skorzystałam. Po wybraniu pierwszego numeru, do Stefana, czekałam z napięciem, prawie z nadzieją, że nie odbierze, ale jednak ktoś odebrał. Usłyszałam szloch kobiety, coś próbowała powiedzieć, najwyraźniej jednak problemy z mówieniem miała jeszcze większe niż ja, bo nie zdołała, zresztą nie musiała, wszystko było jasne. „Tak bardzo mi przykro” powtórzyłam słowo w słowo za staruszką, który właśnie pocieszał agenta Coopera na ekranie telewizora, w tym czasie Maggie Fergusson była już martwa; rozłączyłam się.

Drugi numer to był numer Darka – miałam wątpliwości, czy w ogóle dzwonić, zawsze krytykował moje prace za melancholię i nieszczerłość, ale sam mi się wpisał na listę. Odebrał od razu.

– Pierdol się! – usłyszałam w słuchawce.

Julie Cruise kończyła „Into the night”. Czerwona kurtyna za nią zniknęła, czasem scena jest zwykłą sceną. Napawałam się swoją obojętnością – kiedyś już bym wariowała ze strachu.

– To moje dzieci i będę je widywał, kiedy chcę!

– Darek? – odezwałam się wreszcie. – Tu Basia, z Ludnej.

Cisza. Nie byłam pewna, czy pamięta, w końcu już parę lat minęło. Ale zaraz zaczął mnie przeproszać, a potem znowu wrzeszczeć, że nie odzywałam się dwa lata i przestałam przychodzić na Ludną, i gdziekolwiek, słuch po mnie zaginął, a wszyscy się martwili. W jego głosie dzwięczało szaleństwo, zniechęciłam się, zwłaszcza kiedy od wyrzutów przeszedł do pełnych ekstazy okrzyków, że to siła wyższa sprowadziła mnie do niego. Trzeba bowiem pomóc, trzeba pomóc Jackowi. Prawie się rozłączyłam. Ale zaczęła się przerwa reklamowa, nie wiedziałam, co powiedzieć, więc tkwiłam z telefonem przy uchu, a on wywodził mi swoje plany ratowania Jacka. Jeśli można to tak nazwać, przyjaźnili się wtedy, a i potem byli w kontakcie. Darek zadzwonił do niego wczoraj, chciał się wygadać, ale okazało się, że nie ma komu, bo odebrała matka Jacka. Obiecał jej, że przyjedzie i się nim zajmie; zgodnie z zasadami nie mógł iść sam, powinien wziąć kogoś ze sobą, ale akurat miał pecha, wszyscy, których mógł poprosić, akurat nie mogli (albo nie chcieli), jakieś świeżynki były bardzo chętne, ale to nie wchodziło w grę. I wtedy zadzwoniłam ja. Siła wyższa mnie zesłała.

Nie lubiłam Jacka; przez całą terapię nie odezwał się do mnie bezpośrednio ani słowem. Obowiązkowych informacji zwrotnych udzielał suchym głosem, patrząc w podłogę. Nie powinnam czuć się szczególnie pokrzywdzona, tak odnosił się do wszystkich kobiet, pewnie się nas bał, ale i tak mnie to wkurzało. Wiedziała jednak, że jest programistą, i to bardzo zdolnym, i w związku z tym miewa przykławy gotówki, nieregularne – co rozumiałe ze względu na naszą przypadłość – lecz bardzo wysokie. Mógłby nie tylko opracować mój pomysł, ale i w niego zainwestować.

Była osiemnasta, umówiłam się z Darkiem za godzinę przy południowym wyjściu Metra Marymont. Ostatnio widzieliśmy się w czerwcu 2003, na jego pożegnaniu na Ludnej, teraz prawie go nie poznałam. Przytył, włosy miał porządnie przystrzyżone, a kiedy się uśmiechnął na powitanie, jego twarz wydała mi się obca. Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, co się w niej zmieniło: wstawił sobie zęby.

– Miłość – powiedział patetycznie, kiedy go skomplementowałam. – Miłość mnie odmieniła.

Miłość nosiła imię Wioletta, poznał ją w internecie i od miesiąca u niej mieszkał. Cieniem na szczęściu kładła się przewlekła do absurdu sprawa rozwodowa i wciąż-prawie-była-żona, która się wściekła, kiedy zobaczyła Wiolettę – i zabroniła Darkowi widywać się z synami.

– Pogadamy jeszcze – obiecał, choć wcale nie prosiłam go o rozwinięcie tematu, i wskazał na półokrągły apartamentowiec po drugiej stronie ulicy Krasińskiego. – To tam, chodźmy.

W uchylonych drzwiach mieszkania czekała już matka Jacka. Skurczona osteoporozą i nieszczęściem, sięgała mi ledwie do ramienia. Od progu spod ostrej woni środków czyszczących przebijała się znajoma mieszanka zapachu wódki, szczyń, gówna i rzygowin. Już wiedziałam, że to był błąd, nie powinnam była tu przychodzić. Lepiej byłoby mi na mojej kanapie, przed czterdziestodwucalowym telewizorem, bez kretyńskich wynalazków, bez słów, bez tego powrotu do przeszłości. Bez łażenia po cudzych domach i cudzych życiach, bez grzebania w cudzych brudach. Wołałabym się dowiedzieć o Jacku od kogoś, od Darka chociażby, przytaknąć do refrenu „Widocznie ma swoją drogę”, pokiwać głową. Wcale się nie ch-

ciałam znaleźć na jego drodze.

Darek serdecznie uścisnął drobne dłonie kobiety, przedstawił mnie, kiwnęła tylko głową.

– Tydzień temu miałam sen – powiedziała słabym głosem. – Śniło mi się, że mu zęby wszystkie wypadły, zaraz rano zadzwoniłam, i już nie odbierał, już wiedziałam, że pije, ale musiałam się jeszcze zajmować mężem, dopiero przedwczoraj mogłam przyjechać. Nawet nie otworzył, dobrze, że klucz drugi mam.

– Gdzie on jest? – zapytał Darek.

Zawahała się.

– Nie da się z nim teraz porozmawiać.

– Wiem.

Kiedy uchyliła drzwi sypialni, buchnął w nas smród. Jacek leżał obok łóżka w brudnych slipach, oczy miał zamknięte. Cała podłoga pod oknem była zastawiona pustymi butelkami. Słońce już zaszło, do pokoju padało światło ulicznych latarni, przez uchylone okno słychać było warkot i świst tramwajów.

– Jacuś – rozplakała się matka.

Podeszła do niego, wzięła pod ramiona, chciała dźwignąć, ale nie dała rady, chociaż ciało było strasznie wychudzone. Darek jej pomógł, położyli Jacka na łóżku.

– Na okrągło piorę – wyszlochała, otulając go kołdrą – ale i tak nie nadążam. Łóżko całkiem przemiękło, nie mogę doczyścić, tylko koc mu podkładam.

– Nalej – stęknął, otwierając oczy.

Matka podeszła do stolika w rogu pokoju, dopiero teraz zauważyłam, że stała tam otwarta butelka wódki i dzbanek z wodą i już wiedziałam, dlaczego Jacek usiłował wstać. Wlała do szklanki trochę wódki, dołała do pełna wody, wróciła i podniosła mu do ust. Próbował objąć szklankę dłońmi, ale tak się trzęsły, że prawie wylał, więc zrezygnował, pozwolił, żeby matka go poila, przetykał łapczywie, szczękając zębami o szkło.

– Jeszcze – wydusił.

Omiótł nas niewidzącym wzrokiem, nie wiem, czy zarejestrował naszą obecność.

– Nie teraz, Jacuś, teraz się prześpij, jak się wyśpisz, dostaniesz, obiecuję. Śpij, śpij teraz. Wyjdźcie na chwilę – powiedziała cicho do nas, ocierając łzy. – Majtki mu zmienię i pościel.

W salonie połączonym z kuchnią Darek wyciągnął z kieszeni papierosy.

– Dalej nie palisz? – zapytał, wyciągając do mnie paczkę.

Potrząsnęłam głową. Błogosławiłam doxepin, nie czułam nic. Po prostu chciałam być już w domu, nie tutaj. I zbierało mi się na mdłości.

– Może na Nowowiejską albo do Praskiego go wziąć na odtrucie?

– Myślisz, że znajdzie się miejsce tak z ulicy?

– To może prywatnie wezwać lekarza, z jakąś kroplówką?

– Masz pieniądze?

– Nie mam – poddał się.

Chyba uszła z niego chęć niesienia posłania, przysiadł smętnie na stolku, zaciągnął się papierosem.

– Zadzwońię po mojego lekarza – zlitowałam się.

Darek zrobił wielkie oczy, nie wiedział nic o „moim lekarzu”, a pewnie wyobrażał sobie, że wie o mnie wszystko. Wyszłam do łazienki, żeby nie słyszał rozmowy, ale cofnęłam się od progu, w końcu wyszłam na klatkę schodową. Doktor odebrał, pełen rezerwy i jakby przestraszony, miło mi się zrobiło, kiedy westchnął „Dzięki Bogu”, gdy usłyszał, o co chodzi; obiecał przyjechać na siódmą rano. Kiedy mu dziękowałam, otworzyły się drzwi naprzeciwko i wytoczył się z nich wózek dziecięcy, za nim młoda kobieta z dredami. Spojrzała na mnie z zaciekawieniem.

– Umarł? – zapytała z nadzieją, wskazując brodą mieszkanie Jacka.

– Jeszcze nie – odpowiedziałam i wróciłam do środka.

Darek się ożywił, słysząc wieści o lekarzu. Kiedy przydreptała matka Jacka, znów był pełen energii, od razu do niej przyskoczył i poufale obejmując jej drobne przygarbione ramiona, powiadomił, że jutro przyjdzie lekarz i wszystko już będzie w porządku. Rozpłakała się z ulgą.

– Panie Darku, to zaopiekujecie się nim teraz? – zapytała z nadzieją. – On już wychodzi z tego, ja go oszukuję, coraz więcej wody dolewam, bałam się całkiem odstawić, bo strasznie się trzęsie i zwidy ma. A muszę już do domu wracać, do męża, też nie wiem, co tam zastanę po powrocie. Jakbyście go przypilnowali, to bym jutro pojechała.

– Niech pani jedzie – powiedziałam nieoczekiwanie sama dla siebie. Darek też spojrzał na mnie z zaskoczeniem; może uznał, że udało mi się we mnie wzbudzić jakieś altruistyczne uczucia. A ja po prostu nie mogłam znieść jej widoku, tego, jak mówiła „Jacuś”, jak go dźwigała na łóżko, jak go myła i zmieniała brudne gacie.

– Zajmiemy się nim – potwierdził.

Kiedy przyjechałam następnego dnia o świcie, Darek już był. Wioletta była zła, że wczoraj zniknął na tak długo, wyznał mi szeptem, musiał ją okłamać, że znalazł sobie robotę. Matka Jacka pożegnała się z nami, ciągle płacząc, poszła na przystanek pekaesu tuż za rogiem. Jacek trząśł się jak wczoraj i prosił, żeby mu nalać. To były pierwsze słowa, które skierował do mnie bezpośrednio, wreszcie się doczekałam. Płakał, kiedy patrzyłam na niego z samego serca mojej obojętności. Wreszcie posłodziłam wodę, wlałam do szklanki, podałam mu – wypił i od razu zwymiotował. Zgarnęłam brudną kołdrę, przykryłam go narzutą z salonu. Tę wódkę, która stała na stoliku, wylaliśmy do zlewu. Bulgotało znajomo, zaraz rozboleł mnie nos, a i Darek posmutniał. Przypomniał mu się epizod z dzieciństwa, jak którejś nocy obudził go podobny

dźwięk, wstał i zobaczył, że to mama wylewa do zlewu wódkę ojca. I że wtedy ten zlew się zatkał, cały wypełniony wódką i łzami mamy, więc on wczołgał się na plecach do szafki, odkręcił kolanko i wszystko, co tam było, strzępki natki pietruszki, resztki rozgotowanych kartofli i inne rzeczy trudne do zidentyfikowania, wszystko to razem z tą wódką chlusnęło mu prosto w twarz. I tak już został na całe życie, zakończył patetycznie, trudno jednak było się nie zgodzić.

Zdążyliśmy zebrać butelki do worków na śmieci – trzydzieści cztery, dokładnie policzyłam, nie wiem, po co – i już do drzwi zadzwonił lekarz. Przedstawiłam Darka i zostawiłam ich, musiałam iść do pracy. Może było jednak coś w tym pomaganiu, bo czułam się ożywiona, miałam coś, o czym mogłam myśleć i do czego mogłam wrócić. Nawet zapomniałam o swoim pomysłe. Dopiero dwa dni później, kiedy Jacek już trochę jadł i przeniósł się do salonu na kanapę, bo łóżko trzeba było wynieść na śmietnik, a ja usiłowałam go przekonać do świata seriali i na ekranie jego czterdziestosześcioletniego Samsunga pojawiła się twarz Adriana Monka, dopiero wtedy wszystko mi się przypomniało.

– Czy ja wiem... – powątpiewał Darek.

Wioletta jednak zdecydowała się na kogoś innego – internet dawał doprawdy wielkie możliwości – więc został bez mieszkania, nocował u Jacka. Był przybity. Kolejna rozprawa się odwlekała, ciągle nie mógł spotkać się dziećmi.

– Może się udać – mruknął Jacek. – Spróbować można. I tak nie mam co robić.

Tak się zaczęło.

Pierwszy model rejestrował tylko usłyszane komunikaty, analizował je i podpowiadał odpowiednie reakcje. Teksty wzięliśmy z popularnych poradników psychologicznych i seriali telewizyjnych, nagrało się je w małym studiu nagraniowym na Mokotowie. Napisany przez Jacka program komputerowy mógł je dowolnie miksować i dobierać adekwatnie do sytuacji. Prototyp przypominał aparat słuchowy. Nie podobał mi się, zażądałam czegoś niewidocznego i o szerszej percepcji. Jacek się wściekł, bardzo był z siebie dumny, ale podrażniona ambicja nie pozwoliła mu zrezygnować, pracował tak długo, aż wreszcie uznałam, że o to właśnie chodziło. Bezprzewodowy zestaw obejmował mikrokamerę o szerokim zasięgu, wbudowaną w bransoletkę, naszyjnik albo po prostu do wpięcia w ubranie lub we włosy, chip z nadajnikiem, wszczepiany do ucha, tuż przed błonę bębenkową oraz sterownik, za pomocą którego można było uruchomić, aktualizować program i łączyć się z internetem. Cudo przypominało szpiegowskie pluskwy, więc nazwaliśmy je BUG.

To już wtedy, mimo że nie byłam w stanie sformułować jasno przyczyn, wiedziałam, że nie skorzystam z własnego pomysłu i stanowczo zażądałam, żeby i moi współpracownicy się do tego zobowiązali. Zgodzili się, oni raczej robili to dla zabawy, a Darek z kolei wymógł na mnie obietnicę, że odstawię sierotki, jak mawiała znana naszej trójce i wspomnianą z rozrzewnieniem pani doktor, która „ś” i „ć” rozciągała do „sie” i „cie”, przez co długo tkwiłam w przekonaniu, że mam poważne zaburzenia poznawcze, bo ni w ząb nie mogłam jej zrozumieć. Podobno moje tępe spojrzenie i spowolnione ruchy wyprowadzały go z równowagi, a od kiedy rozstali się z Wiolettą, musiał zadbać o siebie i o swoją równowagę.

Żadne z nas nie znało się na patentach, biznes-planach i nie odróżnialiśmy nawet spółki jawnej od spółki z ograniczoną odpowiedzialnością, zakrawało więc na cud, że wszystko się udało, nikt nas nie okradł i w krótkim czasie założyliśmy firmę z pilotażową produkcją. Wtedy wciąż jeszcze pracowałam w wydawnictwie, dopiero kiedy Jacek przysłał z Japonii kontrakt od Sony – w tym czasie Sony było na szczycie i

dzięki temu kontraktowi w Polsce w ciągu roku wyrosło sześć fabryk – rzuciłam robotę.

W sumie właśnie Jacek wyszedł na tym najlepiej. Posłaliśmy go do Tokio na jakąś konferencję dotyczącą technologii komunikacyjnych, na chybił trafił wybrałam ją w internecie, kupiliśmy mu ładne buty i koszulę w łososiowym kolorze i wsadziliśmy do samolotu ze zgrabną paczuszką, w której ukryty był BUG. I już nie wrócił. Może każdy ma takie miejsce na Ziemi, w którym wszystko nagle staje się takie, jakie być powinno. Może ludzie to czują i dlatego tak kompulsywnie podróżują, szaleńczo przemieszczają się z północy na południe, z zachodu na wschód i z powrotem, podświadomie szukając tego miejsca. Kiedy je znajdują, zostają, bo oddalenie wywołuje tęsknotę nie do zniesienia. Nie umiał nam tego wytłumaczyć, ale myślę, że to właśnie czuł, kiedy się tam znalazł. Pracuje zdalnie, zresztą w tej chwili żadne z nas na poważnie nie pracuje, nawet od pomysłów mamy ludzi; w każdym razie dalej jest członkiem zarządu i odbywa z nami skajpowe konferencje. Od kiedy się ożenił, nawet zwraca się do mnie bezpośrednio od czasu do czasu.

Darek też założył rodzinę. Sprawę rozwodową w cudowny sposób udało się wreszcie zakończyć z nie-konfliktowym podziałem czasu opieki nad dziećmi; jego wreszcie-była-żona prawie dostała apopleksji, kiedy zobaczyła nową panią Darkową, przypuszczałam cynicznie, że z dokładnie taką intencją wybrał sobie kolejną towarzyszkę życia i że następczyni Wioletty szybko zniknie z kuferekiem pełnym złotych monet, ale tak się nie stało, do dziś stanowią zgodną parę, co tylko świadczy o tym, jak mało znam się na ludziach.

Jeśli chodzi o mnie, problem z mówieniem trochę się zmniejszył. Kiedy masz pieniądze, wszystko co mówisz jest mądre, urocze lub co najmniej godne zastanowienia, nawet jeśli brzmi głupio, pewnie ma drugie dno. Poza tym kupiłam sobie dom z telewizorem na całą ścianę – nawet nie wiem, ile ma cali. Lojalnie pożegnałam się z nocami bez koszmarów i z obojętnym spokojem dni. Ściany mam teraz większe, więc i mroku z nich spęłza więcej, gdyby nie BUG i rozmyślania o jego filozoficznych i moralnych implikacjach, pewnie nie dałabym rady.

W ciągu czterech lat firma wystrzeliła do pierwszej trójki światowych korporacji. Sony odpadło, wykupiliśmy ich udziały, wprowadziliśmy własną, autorską technologię. W 2012 skończyliśmy budowę głównej siedziby w Warszawie. Wszystko według google’owskich standardów, a nawet lepiej – opieka medyczna dla pracowników, przedszkole dla ich dzieci, hala sportowa z basenem, ekologiczny budynek z komfortowymi stanowiskami pracy, międzynarodowe staże, nowatorski program socjalny. Nie ma informatyka, elektronika ani specjaliści do spraw marketingu, który nie chciałby dla nas pracować. Z Elonem Muskem bijemy się o najlepszych. Był zresztą u nas na stażu, po dwóch dniach się znudził, wywieźliśmy go wtedy na survival w Puszczy Białowieskiej, wrócił zachwycony.

Oprócz produkcji wciąż udoskonalanych BUGów zajmujemy się głównie aktualizacją funkcjonujących programów i projektowaniem nowych aplikacji, co roku jest moda na coś innego. Ostatnio po długich dyskusjach wypuściliśmy na rynek apkę „rodzic-dziecko” wyprzedziła się na pniu, tylko w Polsce siedemset tysięcy downloadów w ciągu pierwszego tygodnia, na całym świecie sto czterdzieści pięć milionów. Do tego gadżety – w tym roku jest szal na śmieszne przypinki do mikrokamer – koszulki, kubki itp.

Fala oporu przeciwko naszej firmie wzbierała bardzo powoli, niektórzy nie zdawali sobie sprawy z zasięgu przedsięwzięcia i dopiero kiedy ich bliscy zaczęli korzystać z wynalazku, zaczęli protestować przeciwko samej idei. Nieetyczne, mówią. Ograniczające swobodę. Manipulatorskie. Gdyby jakiś haker przejął system (ktoś taki, jak Elliot Anderson z mojego nowego ulubionego serialu „Mr Robot”, na który co czwartek wieczorem czekam przed moim gigantycznym telewizorem), mógłby wywołać niewyobrażalny

chaos, a nawet konflikt zbrojny na skalę światową. To wszystko prawda. I smutno mi, że popyt mimo wszystko rośnie, sprzedajemy coraz więcej i niedługo nasze oprogramowanie obejmie wszystkie dziedziny życia, bo większości ludzi najwyraźniej BUG jest bardzo potrzebny. Godzą się na ograniczenie swobody, manipulację, a nawet groźbę wojny – byle tylko jasno usłyszeć, co mają robić. Nic odkrywczego, już Fromm o tym pisał.

Wypatruję sygnałów oporu, przyjmuję na siebie ciosy, bo zdejmują ze mnie choć część odpowiedzialności. Mam nadzieję, że kiedyś ktoś wdrze się do systemu i napisze komendę usunięcia wszystkich plików i zamknięcia procesów. Jacek twierdzi, że to niemożliwe, BUG jest zabezpieczony przed zniszczeniem i samozniszczeniem, on sam zapętlił program w ten sposób już na samym początku, obawiając się własnych destrukcyjnych ciągów; potencjalne niebezpieczeństwo dotyczy jedynie manipulacji wewnątrz programu.

Nie wierzę.

Nie ma takiego systemu, którego nie można by zniszczyć, trzeba tylko znaleźć właściwą osobę.

Wybrańca.

Jak znam życie, nie wyglądasz jak Rami Malek z serialu „Mr. Robot”, ale to nie ma znaczenia – tak tylko piszę, bez sierotków zrobiłam się trochę zgryźliwa, nie przejmuj się, lekka niechęć do mnie tylko ci pomoże.

Jeśli dotarłeś do tego pliku, to znaczy że jesteś dobry.

Jeśli wiesz, o które znaczenie słowa „dobry” mi chodzi, wiesz, co robić. Masz moje błogosławieństwo.

A jeśli nie wiesz, baw się dalej. W wojnę albo w dom, wolna wola.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

intro, dodano 25.09.2016 18:17

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.